

## Czarne kwiaty. Henryk Mikołaj Górecki (1933-2010)

---

Marcin Gmys

1.

O tym, że ze zdrowiem Henryka Mikołaja Góreckiego dzieje się źle, wiedzieliśmy od dawna. Że jest beznadziejnie – od kilku tygodni. Ale kiedy wczoraj nadeszła wieść o Jego śmierci, jak zawsze w takich przypadkach coś się rozpadło na wiele drobnych, trudnych do posklejania części. Niedowierzenie i gorycz pytania czy to naprawdę musiało nastąpić tak szybko... Wspominanie Jego w tych dniach wydaje się szczególnie trudne. Bo o czym pisać? O tym, że jako młody gniewny przed ponad półwieczem stanął (razem z Pendereckim) na czele europejskiej awangardy? O tym, że potem odważnie ją porzucił, wyczuwając, że dalej czeka go już tylko powielanie wypracowanych do perfekcji wzorów (a wiązało się to przecież także z trudnymi decyzjami życiowymi, jak odrzucenie propozycji Pierre'a Bouleza by przenieść się na stałe do Paryża)? A może o tym, że nie oglądając się na nikogo, współtworzył poetykę „nowego romantyzmu” czy „minimalizmu”? A może o tym, jak – szybko zmęczony blichtrzem światowego powodzenia swojej *Symfonii pieśni żalonych* – odwrócił się od świata, pokazał mu własne plecy, by wieść spokojne życie na ukochanym, choć stale – według Niego – podupadającym Podhalu? A może wreszcie przypominać to, że odszedł właśnie jeden z największych indywidualistów i zarazem największych samotników muzyki drugiej połowy XX wieku (stulecia, w którym tworzył najintensywniej), że zmarł jeden z naczelników u nas artystów? To wszystko przecież wiemy doskonale...

2.

Z Profesorem (jak Go z żoną zawsze tytułowaliśmy) poznaliśmy się mniej więcej przed 10 laty i naszej znajomości od samego początku patronowały niejako Jego kwartety smyczkowe, o których co rusz trzeba było coś pisać. W sumie kilkanaście spotkań, podczas których niechętnie pozwalał z siebie wyciągać mniej lub bardziej niedyskretne tajemnice własnego warsztatu. Ale za to zawsze z entuzjazmem rozmawiał na tematy ogólne – o ulubionych książkach, Podhalu (nasze spotkania przeważnie odbywały się u Niego, „na Zębie”, i zawsze w towarzystwie przemiłej pani Jadwigi, wspaniałej, cierplivej żony, z którą Jego postać w mojej pamięci zrosnięta będzie na zawsze), wreszcie o fascynacjach muzycznych i tych dawnych, wciąż silnych (Bach, Bartók, *III Sonata* i *Stabat Mater* Szymanowskiego), i tych nowszych, czasem oczywistych (Messiaen), a nieraz zupełnie zaskakujących (*Parsifal* Wagnera, *Enigma* Elgara, *Metamorfozy* Straussa!). Najsilniej może pozostanie we mnie jeden z późnojesiennych wieczorów 2002 roku. Już się zmierzchało, a w Jego pracowni z wielkim niemal jak kinowy ekran oknem, za którym majaczył jeszcze rozpoznawalny szczyt Giewontu, zgromadziło się kilka osób z nieodżałowanym przyjacielem i ulubionym wykonawcą kilku jego dzieł, wówczas już prawie ociemniałym Andrzejem Bachledą. Profesor powiedział nagle, że zagra nam „jeden kawałek, właściwie kilka pieśni”. Na pięknym, czarnym kawaii stała mała lampka, jedyne czynne źródło światła w pomieszczeniu, punktowo iluminujące starannie zapisany rękopis.

Długa chwila ciszy w półmroku, wreszcie zaczął. Jego mięsistego, jędrnego i pełnego niuansów dźwięku mogłoby mu pozazdrościć wielu (większość!) współczesnych pianistów. Stopniowo zaczęła wyłaniać się potężna struktura czterech adagiów, z centralnie usytuowanym, jakby jazzującym scherzem. Dość szybko wszyscy domyśliśmy się, że Profesor gra nam swój „mityczny” *III Kwartet*, o którym było wiadomo, że leży w szufladzie od kilku lat, a którego wciąż nie chce przekazać Booseyowi, czelując w nieskończoność warstwę artykulacyjną i dynamiczną. Przez okrągłą niemal godzinę Profesor grał pewnie, czasem cicho podśpiewywał. I chociaż nie wyjaśniał nam w trakcie gry niczego, kiedy kończył ostatnią część, nie było wątpliwości – że rwane, pojedyncze dźwięki depresyjnej frazy popłyną w przyszłości spod smyczka wiolonczelisty...

3.

Popłynęły trzy lata później, najpierw podczas prób, a potem prawykonania tego dzieła (Kronos Quartet). Dopiero wtedy też dowiedzieliśmy się, że *III Kwartet* opatrzony został podtytułem „Pieśni śpiewają”, wysnutym z miniatury Wielimira Chlebnikowa: „Gdy umierają rumaki – dyszą, / Gdy umierają zioła – schną, / Gdy umierają słońca – nagle gasną, / Gdy umierają ludzie – pieśni śpiewają”. Prawykonanie *Trzeciego* zaliczam do przeżyć niezwykłych. Najwyraźniej aura tego dzieła udzieliła się też amerykańskim muzykom: poziom napięcia, szczególnie u koncertmistrza Davida Harringtona, który wcześniej stracił syna, był tak wysoki, że początek tego „kwartetu śmierci” przez kilkanaście taktów brzmiał zaskakująco chwiejnie i niepewnie; to dlatego potem muzycy na bis raz jeszcze (już powściągnawszy emocje) zagrali całą część pierwszą, opartą na niby-echu żałobnej chaconny z *VII Symfonii* Beethovena.

Z prawykonaniem *Trzeciego* wiąże się jeszcze inne wydarzenie. Najpierw jednak trzeba wyjaśnić, iż miało ono miejsce na jednym z jesiennych festiwali w Bielsku-Białej, którym od paru już lat patronował Profesor. Za każdym razem wybierał jedną ważną postać z naszej muzycznej historii, wokół której w inteligentny sposób budował programy własnego autorstwa. W 2005 r. postacią centralną swego cyklu uczynił Krzysztofa Pendereckiego. Doszło więc do spotkania dwóch gigantów, bez których nie sposób sobie wyobrazić naszej powojennej kultury. Ten obraz pamiętać będę zawsze. Po koncercie, na którym oprócz prawykonania *Kwartetu* zabrzmiało również *Te Deum*, dwaj Mistrzowie siedzą przy kuflu piwa i prowadzą ożywioną rozmowę. Penderecki w pewnym momencie zagaja, że musi do partytury *Trzeciego* w przyszłości koniecznie zajrzeć i czujemy, że to nie jest tylko kurtuazja. Natychmiast zresztą pada z jego ust pytanie: „A pamiętasz ten moment *Adagia* z *Kwintetu* Schuberta, w którym wiolonczela puszczone zostaje jakby samopas?”. Niewiarygodne! Nieliczący się niegdyś z tradycją autor *Trenu pamięci ofiar Hiroszimy* pyta równie obrazoburczego autora *Scontri* o najbardziej zjawiskowy fragment całej spuścizny Schuberta, którego doniosłość zwykle uświadamiają sobie tylko nieliczni „znawcy romantyzmu muzycznego”. Fragment utrzymany w tonacji pożegnania, E-dur, którym umierający, 31-letni autor *Winterreise* tym razem powala na łopatki każdego pretendenta do wielkości w kameralistyce – nawet dysponującego najbardziej może rozwibrowaną wyobraźnią głuchego Beethovena, twórcę *Kwartetu cis-moll*. Druga wiolonczela, pierwsze skrzypce i cała reszta – rozpadają się na głosy, partie, plamy od siebie zupełnie niezależne. Niby wszystko jest w tym *Adagio* tonalne i metryczne, a zarazem zanurzone już i w fakturalnej estetyce pierwszej połowy XX wieku, i w naszym, postmodernistycznym „czasie zatrzymanym”. Profesor bez sekundy zawahania imituje arabski wiolonczeli, sugestywnie przeplatając je „kontrapunktem” skrzypiec. Po chwili obaj patrzą na siebie, a w powietrzu czuje się nadzwyczajne, bezsłowne porozumienie.

4.

Nasze ostatnie spotkanie miało miejsce przed dwoma laty, 15 października. Profesor był już bardzo schorowany. Jego głos się niepokojąco obniżył, mówił bardzo cicho, z wielkim trudem, a tak niegdyś częsty gość na Jego twarzy – wręcz szelmowski momentami uśmiech – nie pojawił się chyba ani na sekundę. Ponownie zagailem Go o dręczącą mnie inspirację Chlebnikowa – wtedy też, jeden jedyny raz się ożywił: „Pragnę to podkreślić z całą mocą: moja kompozycja nie ma, poza tytułem, z tym pięknym poetyckim urywkiem *ŽADNEGO* związku. Muszę powiedzieć, że zapanowała jakaś swoista plaga porównywania *III Kwartetu* do tego wiersza. A przecież najpierw napisałem cały kwartet, potem przeleżał on kilka lat w szufladzie i dopiero po podjęciu decyzji o wypuszczeniu go w świat zacząłem szukać dla niego jakiegoś tytułu. I wtedy nieoczekiwanie i trochę przypadkowo przypomniał mi się ów od doskonale wcześniej znany czterowiersz. Co więcej, równocześnie rozpatrywałem wówczas szereg innych możliwych tytułów, a ponieważ zależałoby mi na tym, żeby w tytule kwartetu znalazła się «pieśń», stąd mój wybór”.

15 października 2008 r. Profesor wiele także mówił o galopującej degradacji Zakopanego i tandecie, niezliczonymi mackami oplatającej wszelkie przejawy naszego życia. Na nasze niezbyt rozgarnięte, ostatnie pytanie o marzenia „spełnionego artysty” odpowiedział: „Jak to okropnie i beznadziejnie brzmi: «spełniony artysta». Czego mi życzyć? Żeby nie tracąc ostrości widzenia, mógł nie spoglądać na tę rzekę brudu, która nas zalewa”<sup>1</sup>. Ostatnie, oficjalne, autoryzowane słowa. Poza zasięgiem ciekawskiego mikrofonu powracał też jeszcze do wątku smyczkowych *Metamorfóz* Straussa, opartych na molowym temacie marsza z Beethovenowskiej *Eroiki*. Pamiętam, że był to niemal „nasz” leitmotyw – prawie przy każdym prywatnym spotkaniu z entuzjazmem przywoływał to arcydzieło późnoromantycznej polifonii i melancholii, mówiąc w charakterystyczny tylko dla siebie sposób: „Popatrzcie, jak on to, cholera, zrobił! I to taki stary, po osiemdziesiątce!”. Kiedy „późny Strauss” powrócił w czasie naszej ostatniej rozmowy zrozumieliśmy, że jego *III Kwartet*, z tymi nawracającymi akordami z „podhalańskiego” kwartetu Szymanowskiego, to są takie Jego własne metamorfozy, epitafium dla odchodzącego świata.

5.

Kiedy umierają ludzie – pieśni śpiewają.

Artykuł ukazał się w *Dwutygodniku* nr 43/2010.

Redakcja składa serdeczne podziękowania redakcji *Dwutygodnika* za pozwolenie na przedruk.

<sup>1</sup> Dwa powyższe cytaty pochodzą z wywiadu z Henrykiem Mikołajem Góreckim pt. *Muzyka? Gość z innego świata* przeprowadzonego na zlecenie Instytutu Adama Mickiewicza przez Małgorzatę i Marcina Gmysów 15 X 2008 roku.